

Każda rodzina ma swoją historię.
Nie każda odważy się ją opowiedzieć.

TAM, GDZIE TWÓJ DOM

Kanenbergowie

Tom I

IWONA ŻYTKOWIAK



IWONA ŻYTKOWIAK

TAM, GDZIE
TWÓJ DOM

Kanenbergowie

Tom I



Copyright © 2026 by Iwona Żytkowiak
Copyright for this edition © 2026 by Grupa Wydawnicza Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Anna Płaskoń-Sokołowska

KOREKTA: Renata Minior

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

ZDJĘCIE → Ze zbiorów prywatnych Pawła Cicheckiego

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-907-4

ISBN EBOOK: 978-83-8412-908-1

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-909-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski



Róża Kanenberg siedziała w swoim pokoju. Była zmęczona, choć – jak sobie pomyślała – w rzeczywistości nie robiła nic innego niż na co dzień. Może to ta pogoda, a może wiek.

Nie przejmowała się swoim wiekiem, ani teraz, kiedy na dobrą sprawę przeżyła ponad pół wieku, ani wtedy, gdy miała dziewiętnaście czy nawet dwadzieścia kilka lat. Może to dlatego została sama – bo ciągle jej się wydawało, że na wszystko jeszcze ma czas. A tu, patrzcie państwo, czas się kurczy, może nawet nie tyle kurczy, ile płynie zupełnie nie w tym tempie, jakie sobie wyobraża. Róża bowiem nauczona była tego, że w życiu działa się nie tak, jak chciała, jak to sobie umyśliła, ale tak, jak wyszło. Nic, co byłoby zgodne z jakąkolwiek regułą, nie miało racji bytu w jej rzeczywistości. Przypadek, łut szczęścia lub nieszczęścia. Kompletny brak prawidłowości. Nawet syn trafił się z przypadku, ale to można jej wybaczyć. Wtedy jeszcze była, jak to powiadają, młoda i głupia. Chociaż może nie taka znów młoda.

Za oknem pobielało. Zima od kilku lat była ładna jak z obrazka. Albo z kartki, takiej z UNICEF-u, które za czasów liceum zwykle kupowała w małej księgarni na rogu Sikorskiego i Hawelańskiej. To były kartki! Pełne życia, choć bez konkretnego przeznaczenia. Bo ani nie było na nich choinki, ani malowanego jajka jak na tych z kiosku. Były ciekawe. Dwustronne. Pełne elegancji i oryginalności. Drukowane na tłoczonym papierze, nawet pachniały zupełnie inaczej niż te kioskowe.

Jedna szczególnie zapadła jej w pamięć. To był zwyczajny krajobraz ogołoconego z liści lasu. Chyba zimowego. Brązowe trzony drzew z rozczapierzonymi gałęziami, równie nudnymi i bez uroku, wyróżniały się na tle przestrzeni, która podzielona była równo – pół biała, jednorodna ziemia, a nad nią równie monotonnie niebieskie niebo. W takim samym

stopniu natężenia i jednorodności niebieskie, co w drugiej części białe. Bez żadnych odcieni. Gdyby nie zamazana postać o trójkątnym korpusie i sztachetowych nogach, w burym płaszczu, zlewającym się z całością krajobrazu, i w czerwonym berecie wyglądającym niczym położony na głowie talerz, kłujący w oczy, niepasujący, burzący może nie tyle harmonię, ile pewien porządek. A wszystko to namalowane niewprawną ręką malarza. Gdzie tam malarza! Dziecka! Dziecka, które nie naznaczyło tego własnym doświadczeniem. Namalowało! Wymyśliło sobie! Ktoś to dostrzegł. Zupełnie przez przypadek. Wytypował, wysłał. I powstała widokówka. A malarz? Pewnie pozostał anonimowy, może nawet nieświadomy... Pewnie to jakieś biedne, głodujące dziecko z Mozambiku, Rwandy lub innego kraju, o którego życiu Róża nic nie wiedziała. Może nawet już nie żyło. Minęło tyle lat...

Róża zostawiła sobie tę kartkę, bo była w niej jakaś nostalgia. Wielokrotnie widziała tę postać podczas powrotów do domu. Szczególnie tych zimowych. Lubiła tego kogoś, kto zaplątał się w tej białej, mdłej scenerii. Pozostałe rozesłała, a tamtą gdzieś wcisnęła. Wypadła dopiero teraz.

Róża przeszukiwała regały po tym, jak dziś zadzwoniła do niej Julka.

– Różyczko! Moja ty złota! Jesteś moją ostatnią nadzieją! – Głos przyjaciółki był przesadnie uduktoryzowany, żeby podkreślić, że sprawa nie cierpi zwłoki. – Muszę mieć *Miłość niejedno ma imię* czy coś w tym rodzaju! Na pewno masz!

Potrzebne od zaraz! Na gwałt! I tylko Róża może ją uratować od niechybnej zguby! U Julki nie było zwykłego komunikatu w stylu „Potrzebny mi przepis na mazurek” lub „Szukam książki”. Wszystko było aferą, sensacją, końcem świata. „To już koniec!” – powiadała, gdy coś poszło nie tak. I mogło to dotyczyć zupełnie absurdalnej sprawy, choćby

tego, że własne sobie uświadomiła, że nie kupiła cukru. Albo: „Chyba zaraz umrę!” – kiedy pierogi się nie kleiły i wypływał z nich farsz, mieszając się z wywałkowanym ciastem.

Róża wiedziała, że ma tę książkę, choć od kilkudziesięciu lat nie pamiętała o niej, zresztą tak jak o innych. Całe życie gromadziła książki. Układała je w stosy, wyznaczając im kolejność czytania. Ale codzienność okazywała się bardziej nachalna i nie pozwalała Róży na zaczytywanie przygotowanych powieści zgodnie z wyznaczonym porządkiem. Odkładały się więc na kolejnej półce z przeznaczeniem na spokojniejsze czasy.

– Mam – oznajmiła krótko.

– Wiedziałam! Życie mi uratowałeś! O matko!

Ciężar zrzuconej ulgi przeniósł się na telefon Róży. Próbowwała jeszcze zapytać, co u Julki, jak dzieciaki, mąż, ale w słuchawce pobrzmiwała tylko głucha cisza. Odrzuciła telefon. Uśmiechnęła się do siebie. Pięknie! Tyle razy już ratowała czyjeś życie! I to w tak prosty sposób, niezmuszający jej do żadnych wysiłków.

Wszystkim wokół się zdawało, że skoro Róża jest polonistką, to musi mieć wszystko, co dotyczy języka, pisarzy, malarzy, kompozytorów i czort wie, kogo jeszcze, a jak nie ma, to co z niej za polonistka. Pewnie też dlatego Róża gromadziła książki, które nie były jej do niczego potrzebne, bo dawno już skończyła studia. Książki ją przytłaczały, zajmowały każdą wolną przestrzeń, domagając się pierwszeństwa nawet przed przedmiotami codziennego użytku, takimi jak zaparzaczk do herbaty czy obieraczka do warzyw. Owszem, co kilka lat Róża robiła remanent, ale tak naprawdę zawsze kończyło się na wydaniu paru lektur do wiejskiej biblioteki, przetasowaniu tytułów i zmianie ustawienia.

– Mamo! – wołał Michał. – Gdzie są moje kable? Zaraz mnie szlag trafi! Niczego nie mogę znaleźć w tym muzeum!

Doskonale znała ten ton. Zlewające się głoski, bulgoczące, gardłowe, kluskowate. To było stadium jednej, najwyżej dwóch puszek. Po trzeciej pojawiłyby się „kurwowania” i inne ozdobniki. Przywykła. Nie przyszło jej to łatwo, ale przywykła.

Z dziwną satysfakcją wsłuchiwała się w owe złorzeczenia. Wiedziała, gdzie są te cholerne kable. Sama je tam wkładała. Próbowowała nawet je uporządkować, porozplątywać, ale potem pomyślała sobie, że chyba byłaby durna, gdyby to robiła. Przecież on nic nie robił. Kompletnie nic! Od czasu, kiedy Kamila go zostawiła, zabrała małego Stasia i wyprowadziła się do rodziców, całymi dniami tylko siedział z nogami wywalonymi przed siebie i żłopał piwo. Nie miała wystarczająco siły, by zamknąć przed nim drzwi. Ani kiedyś, na wsi, gdy przywieźli go koledzy – pijanego, ledwie przytomnego. Płakał i wciąż powtarzał na przemian: „Stasiu, Kamila, Stasiu”... – i tak pół nocy. Ani tym bardziej tu, gdzie zdawało jej się, że wszystko bardziej należy się jemu niż jej. Czekala, aż coś się zmieni, aż w nim drgnie.

Kiedy się wyprowadzali, stary Zaleski targał rzeczy do samochodu, choć sam ledwie chodził. A on? Spał skulony, przykryty kocem. Znowu coś mu w życiu nie wyszło. Musiał się napić. Tak! Teraz n a p r a w d ę musiał! Czy ona nie rozumie? Nic mu w życiu nie wychodzi! Skończył tę głupią, wiejską szkółczynę z zasranym czerwonym paskiem, tylko dlatego że ona tam uczyła. Potem liceum w Wąbrzeźnie, choć ledwo, ale na studia się dostał. A tam wszyscy jak z innej bajki. Jakieś egzystencjalne rozterki, dekadentyzm końca wieków, pseudointeligenckie rozmowy... Cuda na kiju! Cholera! A on? Chłopak w walonkach. Jemu chciało się wolności, swobody, skoro już wyfrunął spod jej skrzydeł. Tymczasem wszystko szło jak po grudzie, psia mać. A potem pojawiła się Kamila. Zabawa w dom też mu nie wyszła. Palant, nieudacznik... I co? Nie ma powodu, by się napić?

Powiesić się powinien! W tej rodzinie nie lubi się facetów, dlatego im się nie wiedzie... Przekleństwo!

– Pani da spokój, pani Rózo! Nie warto sobie strzepić języka ani nerwów. Dorośnie, sam zrozumie, a jak nie, to pies go trącał! Pani kochana, jak ja bym tak się na moich oglądał, to by mnie w samych galotach puścili. Już bym w jakimś przytułku gnił. Dzieci, moja ty złota, są jak rak: wyssa z ciebie wszystkie soki, wyciągną życie. Coś o tym wiem. Długo by gadać. Zresztą pewnie pani słyszała... – Zaleski machnął ręką i złapał za kolejny karton.

Owszem, słyszała. Wyjątkowo paskudna historia. Jeden z synów Zaleskiego odsiadywał wyrok za znęcanie się nad rodziną, drugi wyjechał za granicę po tym, jak okradł tutejszą spółdzielnię rolniczą. Zaleski jakby pogodził się z losem, ale jego żona zapadła się w sobie. Od kilku lat nie wychodziła na wieś. W oczy ludziom ze wstydu patrzeć nie umiała. Róża czasem do nich zachodziła. Głównie po jajka, a wcześniej po mleko i sery. Niegdyś mieszkali najbliżej, a Zaleska była niezwykle schludną gospodynią. Był czas, kiedy Róża miała w niej niemal najbliższą przyjaciółkę. Niejedną noc przegadały, przepłakały, a czasem przesiedziały w milczeniu. Jak Michał był mały, Zaleska go pilnowała. Tak samo jak własnych synów to ganiła, to tuliła. Ich chłopaków też Róża bardzo dobrze pamiętała. Kiedy nieco podrośli, niekiedy przylatywali do niej, a to po książkę, a to żeby coś im sprawdzić. Fajne z nich były dzieciaki. Róża się zastanawiała, co takiego musiało się zdarzyć w ich życiu, że tak się zmienili.

Kartony warstwiły się jedne na drugich. Starła się je sygnować, aby było łatwiej, ale trudno podpisać każdy okres w życiu człowieka. Bo jaki przyjąć porządek? Lata życia, zainteresowania, miejsca, sytuację

polityczną? I w końcu wszystko wylądowało przypadkowo. Pozbawione kontroli, zasad i ładu. Omijała je tylko zgrabnie, by dotrzeć do biblioteczki.

Stała teraz przed regałami niczym zdumiona kaczka, której ktoś zakłócił trywialną czynność zżerania paszy, i przekręcała głowę, raz w jedną, raz w drugą stronę. Oczy rozszerzały jej się ze zdumienia, że takie tytuły ma w swoim zbiorze. Większość pamiętała, ale część odkrywała z niekłamanyim zdziwieniem. *Miłość niejedno ma imię* Pierre’a La Mure’a pamiętała. Tak jak swoje rozczarowanie, kiedy okazało się, że nie jest to romans w stylu ówczesnych pisarek, Siesickiej, Ożogowskiej czy choćby Rodziewiczówny, tylko biografia Mendelssohna, którą autor ubrał w banalny, romantyczny tytuł.

Potem Róża zakochała się w pisarzu, może nie tyle zakochała, ile pozostawała mu wdzięczna za Toulouse-Lautreca, którego postać i losy postanowiła zgłębić. Pisarza intrygował ten pokurcz, odrzucony przez ojca, zawłaszczony przez matkę, który w końcu przepadł bez reszty w nocnym życiu Paryża, alkoholu i burdelowym półświatku. Róża z wypiekami na twarzy czytała o praczkach, grubych, brzydkich prostytutkach, kobietach a to wkładających pończochy, a to czeszących się, a to tańczących czy skacowanych w okolicy Moulin de la Galette. Tak dalece zafascynowała ją postać kalekiego artysty, że długo wahała się, czy wybrać historię sztuki, czy polonistykę. Wybrała, jak wybrała. Nigdy nie wiedziała, czy słusznie. Za to jako jedna z niewielu w klasie widziała, że Jane Avril, którą upodobał sobie Toulouse-Lautrec, tańczyła kankana. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie!

Róża spojrzała za okno. Zima. Było coś dziewczęcego w tej wszechobecnej białości. Z wysokości piętra widać to, co ładne. Nie da się dostrzec psich odchodów i brązowawych, piaszczystych śladów butów. Odchyliła ciężkie zasłony, w których czał się zapach staroci. Nie żeby były

zniszczone czy brudne. Raczej majestatyczne. Siłą rzeczy musiały kojarzyć się ze starociami. Róża miała wrażenie, że wisiały tu zawsze.

– Nie otwieraj okna, zniszczysz zasłony – upomniwała ją matka, gdy któregoś lata, szukając w pokoju jakiejś książki, Róża chciała wpuścić trochę świeżego powietrza, bo kurz zakręcił jej w nosie i kichała raz za razem. Potem kobieta podeszła do okna i energicznie docisnęła skrzydło do ramy.

– Dobrze, dobrze... – Róża podniosła wówczas ręce w geście poddania.

Wtenczas matka, jakby się zawstydziła, przesunęła zasłony w stronę ściany, związała je, przewiesiła na specjalny uchwyt i otworzyła szeroko okno. Skrzydło się poruszyło, więc podłożyła jakąś książkę. Podparła się łokciami o parapet i tkwiła nieporuszona, aż córka znalazła to, czego szukała, i stanęła za matką, przyległa do jej pleców, opłotła ją ramionami. Poczuła, jak ciało kobiety drgnęło, by za moment zastygnąć w bezruchu. Włosy, na pozór niedbale zwinięte na karku, łaskotały ją w nozdrza. Było ciepło. To była wiosna, któraś Wielkanoc. Pod oknami na parterze wykwitwały śnieżyczki, pierwiosnki i krokusy, wyglądając nieśmiało spod kęp całkiem już zielonej trawy. Rosły koloniami, tworząc barwne dywaniki.

– Wiesz – powiedziała matka, nie odwracając się – jesienią wykopałam cebulki amarylisów, lilii, tulipanów... Są w piwnicy. Może im tam za ciepło. Ja już nie będę ich sadzić. Niech zostanie trawa. Łatwiej o utrzymanie. Nie będziesz musiała babrać się w ziemi.

– Skoro tak zdecydowałaś – odpowiedziała jej wtedy Róża. Sama nigdy nie przywiązywała uwagi do tego, co obok domu. Jakoś tak wyszło. Nie lubiła grzebać w ziemi. Nie zabiegała o dodatkową przestrzeń. To, co mieściło się w ścianach – to było jej.

Otworzyła okno. Rześkie powietrze wtargnęło do pokoju. Wzdrygnęła się, otulając szczelnie swetrem. Parapet przykrywała przymarznięta

warstwa zlodowaciałego śniegu. Rozruszała ją, a potem zsunęła na zewnątrz. Wychyliła się. Ażurowy krajobraz. Delikatna, wysublimowana misterna koronka. Nieco dalej, ale wciąż niemal na wyciągnięcie ręki, rosło drzewo. Osiadła na nim szadź powodowała, że wyglądało niewiarygodnie pięknie, wręcz baśniowo. Chciało się na nie patrzeć, dotykać je, muskać. Czapierzaste gałęzie, sztywne od mrozu, sprawiały wrażenie prawdziwej korony – tej królewskiej. Była dostojna, niedostępna, wspaniałomyślnie pozwalała się podziwiać. Patrzeć. Z daleka. Bez dotykania. Ledwie jeden ruch mógł porazić chłodem, strzepnąć ów czar, odkryć bure, pospolite wicie.

Z okna rozciągał się widok na główną ulicę Miasta. Wyłaniała się daleko za zakrętem i zataczała łuk, by zniknąć po przeciwnej stronie. Od wielu lat, chyba nawet od zawsze stanowiła reprezentacyjną aleję. To przy niej stały poniemieckie kamienice, takie jak ta, do której powróciła Róża. W większości były to budynki z cegły, dwukondygnacyjne, z wysokimi dachami z lukarnami. Pięknie zdobione fasady, eleganckie prostokątne okna zwieńczone łukami, zdobione sztukaterią w formie muszelek, gałązek i kwiatowych zwisów. Wszystkie były własnością Miasta – poza jej kamienicą. Jej kamienica... Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl. Stała się właścicielką bodaj najładniejszej z nich. Czy tego chciała? Nigdy nie myślała, że to się stanie, ale stało się... jak wszystko inne. Niezależne od niej, bez jej starania czy udziału.

Dziwne. Całe życie tu mieszkała, choć trochę na raty. Na samym początku oprócz nich żyły tu jeszcze dwie rodziny, ale ona nie mogła tego pamiętać, bo nie było jej jeszcze na świecie. Matka często wspominała tamten czas. Mówiła, że to był dobry czas w jej życiu. A potem ojciec zniknął...

Naprzeciwko, na wysokości wzroku Róży, tkwiły lampy uliczne ozdobione czerwonymi świecącymi sznurami bombek w kształcie dzwonków z kokardkami. Na gałęziach zmarzniętej lipy powieszono diody LED. Na oknach, w witrynach sklepów mrugały świecące sople, białe, zielone, czerwone. Kilkadziesiąt metrów dalej na środku ronda majaczyła kolorowa choinka. Zmrożona biel, skrzący śnieg, kolorowe lampki – baśniowa sceneria! Tymczasem z pokoju obok dochodziło dudnienie basów, przerywane wyklinaniem Michała. Dalej szukał kabli, przewalając nieuporządkowane kartony.

Tylko książki stały niewzruszenie, jakby nie odbyły żadnej przeprowadzki. One pierwsze dostały zaszczytu zadomowienia się. Ustawione na regałach, wyrównane według wzrostu, bez porządku alfabetycznego, ale równo jak pod kreskę. Może kiedyś Róża się nimi zajmie. Może...

Zamknęła okno. Chłód przeszywał jej ciało pomimo swetra.

Róża wróciła do Miasta po wielu latach. Bywała tu wprawdzie co roku, czasem po kilka razy, ale zawsze czuła się jak gość. Nie miała ani swojej szafki, ani kapci. Uczyła się na powrót mieszkania matki, swojego dzieciństwa, zamglonego, skłamanego – celowo lub nieświadomie – próbowała rozpoznawać tropy, które utkwily w niej, ale zakopane głęboko, zaćmione przez zdarzenia dnia codziennego, zmagania z życiem.

Wcześniej mieszkała na wsi. Osiadła tam rok po studiach, szukając ucieczki albo spokoju. Sama nie wiedziała czego bardziej. Pomógł jej dyrektor liceum. Może gdyby nie on, wszystko potoczyłoby się inaczej. Lepiej? Gorzej? Kto to wie.

Nauczycielka, która pracowała od pięćdziesiątego pierwszego roku – kiedy to po studiach uniwersyteckich dostała nakaz pracy właśnie tam – akurat odchodziła na emeryturę czy rentę, choć nikt za bardzo w to nie wierzył, ludzie spekulowali po kątach. Dla Róży zresztą nie miało to znaczenia. Co ją tam jakaś polonistka. Ważne, że ona będzie miała pracę. I mieszkanie. Tutaj, gdzie miała pracować, była nowa szkoła, ów dar społeczeństwa na tysiąclecie państwa polskiego.

– Dobrze, że jesteś – usłyszała, kiedy weszła do gabinetu dyrektorki. – Czas na zmiany. Ja już swoje zrobiłam. I Stalina pochowałam, i Bieruta... Szmat czasu i historii. Przyjechałam na trzy lata, a popatrz. Usiądź, dziecko.

Kobieta nie podniosła na Różę wzroku. Nie odwróciła się nawet. Szukała czegoś w dolnej szufladzie. Przerzucała długopisy, przesuwiała koszyczki ze spinaczami, w końcu zaczęła wyjmować wszystko na blat. Róża widziała tylko czubek jej głowy. Ciemne włosy, upięte w niedbały

kok, wyglądały zabawnie, zwłaszcza w połączeniu z dochodzącym spod biurka głosem.

W końcu dyrektorka się wynurzyła. Odgarnęła przedramieniem włosy z oczu i rzekła:

– Witam panią. Proszę mi wybaczyć to „dziecko”. Maria Rofe – przedstawiła się.

Miała silny, zdecydowany uścisk dłoni. Aż dziw, bo była niemal filigranową kobietą, o tak młodzieńczym spojrzeniu i wyglądzie, że Róża pomyślała sobie, że to musi być pomyłka. Pracownica kuratorium, do którego kazał jej zadzwonić dyrektor liceum, mówiła, że polonistka z wiejskiej szkoły, ta sama, która odchodzi na emeryturę, pełni też funkcję dyrektora. Tymczasem osoba, która stała przed Różą, zupełnie nie wyglądała na emerytkę. Wydawała się może dziesięć, góra dwanaście lat starsza od niej. A przecież emerytka musiałaby być w wieku jej matki...

– Róża Kanenberg – powiedziała Róża.

Maria Rofe musiała dostrzec zdumienie w oczach Róży, bo zawołała:

– Tak, tak! Wiem, co sobie myślisz, dziewczyno. Że pracować się nie chce. To też. Brakuje mi do emerytury wprawdzie kilku lat, ale... No dłużej już się nie da. – Rozłożyła ręce.

Róża kiwnęła głową i rozejrzała się dyskretnie. Gabinet był niewielkim pomieszczeniem z ciasno upchanymi meblami. Na półkach stały rzędem segregatory z wypisanymi latami: 1968, 1969... Na samym dole regału – seria tomów Biblioteki Studiów nad Marksizmem.

Dyrektorka powiodła za wzrokiem Róży.

– Kiedyś wyniosłam je do magazynu, na zaplecze, ale drugiego dnia znowu stały na półce. I tak kilka razy. Pan Edek jest u nas woźnym, dozorcą, taką złotą rączką. Co niektórzy żartują, że nasza szkoła stoi panem Edkiem. To on tak przynosił – dodała ciszej, jakby podejrzewała, że ktoś

usłyszy. – Myślał, że nie wiem. – Uśmiechnęła się. – Napije się pani herbaty? Bo kawy to nie mamy. – Zmieniła nagle temat.

Róża nie zdążyła odpowiedzieć, bo dyrektorka, włożywszy do szklanek torebeczki, wyszła do przyległego pomieszczenia, gdzie stała kuchenka na dwa palniki. Maria toczyła o nią bój najpierw w księgowością, co to za żadne skarby nie chciała zwrócić za nią pieniędzy, a potem z komisją, która w niewielkiej butli turystycznej widziała masowe zagrożenie. Postawiła jednak na swoim.

– Edek się bał – podjęła, gdy po chwili wróciła. – Wszyscy się bali. Chodzili na palcach, szeptali do siebie. Ja też kiedyś się bałam, ale teraz już się nie boję. Od kiedy zabrali mi wszystko, co tylko...

Czajnik zaczął gwizdać i dyrektorka znów zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu. Zaraz też przyniosła herbatę. Szła ostrożnie, noga za nogą, nie spuszczać wzroku ze szklanek. Róża uśmiechnęła się do siebie. Niezgrabne ruchy i trzęsące się ręce nie pasowały do tej kobiety. Zdawać by się mogło, że we wszystkim, co robiła, były elegancja i gracia.

Maria usiadła i pochyliła się nad szklanką. Okulary jej zaparowały, ale nie zwracała na to uwagi. Przymknęła powieki, wciągając aromat.

– Dobra herbata. Znajoma mi przynosi, kiedy dostaje paczki. Mówi, że ona takich śmierdzideł nie lubi. Cukier? – spytała, wyciągając rękę z cukiernicą. Ciężkie kryształowe szkło pasowało do wielkiego wazonu; ten sam głęboki, elegancki szlif.

– Dziękuję, nie słodzę – powiedziała Róża. Nawinęła sznureczek na łyżeczkę, odcisnęła płyn z saszetki i odłożyła ją na talerzyk. Nagle zdała sobie sprawę, że w zasadzie nie zdążyła wypowiedzieć jeszcze żadnego pełnego zdania. Mało! Nagle doszło do niej, że nie ma pojęcia, co powiedzieć, o co zapytać. Perspektywa pracy tutaj wydała jej się nagle bezsensowna. Wszystko było dziwne. Ta kobieta, szkoła, nawet droga do

niej, bo prowadziła przez całą wieś. Do samego końca. Symbolicznie. Bez alternatywy.

Przypomniła jej się podróż. Róża wysiadła na krzyżówce. Razem z nią kilka wiejskich bab, z koszami, torbami wypchanymi wystanymi w kolejkach towarami. Kiedy wcześniej zapytała kierowcy, czy to już Orzechowo, nagle wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę i zapadła cisza. Gęby rozdziawiły się z ciekawości. Gdy szła, kobiety zrobiły szpaler, obcinając ją wzrokiem bez żadnej żenady.

– A pani to do kogo tutaj? – zapytała jedna, lustrując ją od stóp do głów.

– Może do Kozłowej? Gadała, że czeka na jakąś dziwuchę. Od brata, czy kogós tam – odezwała się następna.

Różę onieśmieliła owa bezpośredniość, ale nie miała wyjścia, musiała się odezwać. Otrzepała spódnicę i zapytała jakby nigdy nic:

– Którędy do szkoły?

Kobity pooglądały się po sobie, potem na nią i znowu na siebie. Żadna jednak nie pośpieszyła z odpowiedzią.

– To pewnie ta nauczycielka, co o niej mówiła dyrektorka moim dzieciokom – szepnęła jedna z nich, choć był to szept tak głośny, jakby wcale nie zamierzał kryć tajemnicy. Zresztą obecność młodej kobiety ich nie peszyła. To, że Róża wciąż między nimi stała, też było bez znaczenia.

– Dajta spokój, przeca to dziecko! Gdzieżby taka miała w szkole uczyć!

Zmierzyły ją jeszcze raz i wzruszyły lekceważąco ramionami. W końcu któraś jakby przypomniała sobie o Róży i zwróciła się do niej:

– Szkoła je tamuj! Prosto aleją, potem będzie chałupa wielka, potem znów mała chata, a potem zaroz i szkoła. Wielki żółty budynek. Zobaczycie na pewno. Na końcu. A po resztą to i tak już za nią nic ni mo. To i zbłądzić trudno.

Zaraz też wróciła do kum, które chwyciwszy torby z ziemi, rozeszły się każda w swoją stronę, przystając jeszcze co krok i oglądając się z Różą.

– To nie jest zła szkoła. Dzieciaki fajne. A ludzie, jak to ludzie, można się przyzwyczaić. Każdy coś ma za pazuchą – zaczęła mówić Maria, jakby czytała wszystkie wątpliwości, które kłębiły się w głowie młodej nauczycielki.

Róża się bała, że zaraz się rozpłaczę. A tego nie chciała za nic. Chwyciła szklankę, ale herbata była jeszcze zbyt gorąca, odstawiła ją więc spieszenie, by nie poparzyć rąk.

– Ja odchodzę, bo chcę. Ludzie mówią, że muszę, ale to bzdura. Nie odeszłam wtedy, kiedy zniszczyli mi życie, to i teraz bym nie odeszła. Po prostu stąd wyjeżdżam.

Kobieta zatoczyła ręką łuk, obejmując gabinet. Róża domyślała się jednak, że chodzi o wiele więcej niż ta przestrzeń.

– Mogę zapalić? – spytała cicho Róża. W pomieszczeniu wprawdzie nie było czuć dymu papierosowego, ale dojrzała papierosy przypadkiem wystające z torebki dyrektorki.

Pytanie wydało jej się głupie, wręcz trywialne, zwłaszcza w tym miejscu, w tych okolicznościach, ale było jej wszystko jedno. Czy dostanie tę pracę, czy nie. Tak naprawdę na niczym jej nie zależało. Mogłaby nawet już umrzeć. I nie było w tej myśli żadnej desperacji. Zwyczajnie doszła do wniosku, że nie zależy jej na życiu. Jasne, może żyć! Ale nie musi. Bo niby co by się stało? Nic. Zupełnie nic. Gdyby nie Michał... Był taki mały. I bez ojca... Miał tylko ją. Ale i on dałby sobie radę. Są przecież domy dziecka...

Chciało się jej palić jak cholera. Nie miała co zrobić z rękami, a papieros zawsze pozwalał złapać dystans.

Nagle zza drzwi dobiegł głos dzwonka.

– Oho! Pan Edek, widać, coś zły! – stwierdziła Maria. – Tak, tak, proszę palić. Ja też palę. Chętnie sobie pozwolę. – Wyciągnęła z torebki papierosy. Marlboro. Kolorowy, błyszczący kartonik. Róża tylko raz paliła Marlboro. Agata, koleżanka ze studiów, miała chłopaka na wsm i on kupował jej takie cuda. – Może tego? – Dyrektorka podsunęła jej paczkę. – Też od tej znajomej. Jakoś tak już zostało... – zakończyła dziwnie.

Przez otwarte okna dochodził hałas. Gabinet mieścił się na parterze od strony dziedzińca. Głosy dzieciaków i młodzieży ze starszych klas zlewały się w polifoniczny krzyk. Ktoś zaklął szpetnie. Dyrektorka poderwała się do okna, ale wśród tylu krzykaczy trudno było rozpoznać winowajcę.

– To pewnie Maciej Zadłużny. Ten to ma jęzor niewyparzony.

– Dziękuję – powiedziała Róża, z ogromną ulgą zapalając swojego Carmena. Gdy dym wypełnił jej płuca, przymknęła oczy z rozkoszy.

– Czyli... – zaczęła już pewnie, jakby papieros pomógł jej odzyskać rezon – które klasy miałabym uczyć?

Maria się roześmiała.

– Nie pracowała pani jeszcze? Na pewno nie na wsi. – Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– Rok. Pracowałam rok. Niecały. W liceum w Szczecinie – odpowiedziała Róża szybko. – Ale to już historia. Koniec. Nie wrócę tam.

– Rozumiem. Tutaj, droga pani magister, bo z tego, co wiem, posiada pani ten tytuł, tu – powtórzyła z naciskiem dyrektorka – będzie pani uczyła wszystkich i wszystkiego. Nawet skoków i śpiewu. To mała szkoła. Nie stać nas, by zatrudniać nauczycieli do każdego przedmiotu. Zresztą skąd ich nabrać? – Zamyśliła się na ułamek sekundy, ale zaraz dodała żywiej: – Da pani radę. Wiem o tym.

Róża nie była tego taka pewna. Zdenerwowała ją nawet Maria tą swoją wszechwiedzą. Guzik tam wiesz, pomyślała, ale zaraz jej minęło, bo tak

naprawdę spodobała jej się ta kobieta, z jej niedomówieniami, półsłówkami, rwanymi wątkami. Dlaczego zżymała się na nią w myślach, skąd ta złość? Pewnie przez te głupie baby. Pewnie przez niego...

Pociągnęła Carmena tak mocno, że na bibułce wykwitła brązowa pręga, papieros się zdeformował.

– Nie zastanawiaj się więc, dziewczyno. Pakuj manatki i jazda na wieś. Mnie już tu nie będzie, ale to jedno jeszcze postanowiłam załatwić: że nie zostawię szkoły bez nauczyciela. Obiecałam mu. Tyle jeszcze mogę... – dodała Maria ciszej, tonem, jakim mówi ktoś, kto doznał krzywdy, w którym pewność mieszała się z pogardą.

Róża się domyślała, że ma to jakiś związek z jej dotychczasowym dyrektorem, ale nie odważyła się o to zapytać.

– A pani? Dokąd? – spytała zamiast tego, zanim zdążyła się zdecydować, czy chce znać odpowiedź.

– Ja? – zapytała Maria. – Ja w końcu znalazłam jego. On znalazł mnie. Dziesięć lat! Dziesięć lat w niepewności! Ale wytrzymałam. Wytrzymałam ich wszystkich! Tyle razy chcieli się mnie pozbyć. Ale nie dałam się. Może bym odpuściła, ale co miałam zrobić ze sobą? A teraz on się odnalazł.

Kobieta pojaśniała, ale jednocześnie jej twarz rozpalila się jak w gorączce. Oczy zrobiły się lśniąco i tak błękitne, jakby właśnie w nich tkwiło źródło wszelkiego błękitu. Ręka kurczowo trzymająca Marlboro w ogóle nie podnosiła się do ust, papieros wypalał się sam, długi słupek siwego popiołu niebezpiecznie groził upadkiem.

Róża miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Nigdy jeszcze nie widziała, by ktoś tak nagle się zmienił. Rozbłysnął.

Maria westchnęła głośno. Zaraz jednak opanowała się i na powrót stała się dyrektorką przeprowadzającą rozmowę z przyszłą polonistką. Zmiana

maski. Jak w teatrze. Dopracowana mimika, wystudiowane grymasy, spojrzenia, gesty.

– Nie wiem, dlaczego ci to mówię, dziecko. – Upiła łyk herbaty. W kącikach ust pojawił się jej nadmiar, więc wprawnymi ruchami języka zagoniła niesubordynowaną resztkę do środka.

Róża milczała. Tylko tyle mogła. Wiedziała, że musi zapalić jeszcze jednego papierosa, że tamten, którego dogasiła w popielniczce z tego samego zestawu, co wazon i cukiernica, to za mało.

– Ta koperta... Oni wszystko potrafili zbezczścić. Rozdziewiczyli ją... Idioci! Pozostawili zaślinione ślady. Może i coś zabrali, ale pieczętka stamtąd. Z Hadery. I list. Kilka słów, że jest dobrze, że zdrowy i tego samego mi życzy. Ale tych kopert było więcej, dziesiątki, może nawet setki.

Hadera? Róża nie miała pojęcia, o co chodzi dyrektorze. Wtedy Maria opowiedziała jej historię swojego małżeństwa. On – Żyd, uciekinier z getta, a potem wykładowca. I wszystko pięknie, ślicznie. Do sześćdziesiątego ósmego. Nie wytrzymał tego ujadania. Uciekł najpierw od niej, a potem tam. Nie prosiła, by wracał. Znała go. Musiał wylizać rany w samotności. Wyjechał na jakiś czas w Bieszczady, z daleka od ludzi. Była spokojna. Wiedziała, gdzie jest. Rozumiała. Ale i tam go dopadli. Jasne! Państwo pomogło. Państwo chciało wyzbyć się tych semickich mątw. A potem dostał dokument podróży, zamiast polskiego paszportu. Dokument ważny tylko na wyjazd z Polski i bez prawa powrotu, w którym było napisane, że „posiadacz niniejszego dokumentu nie jest obywatelem polskim”. Próbował tam żyć. Ale też nie umiał. A potem wyjechał do Stanów. Ameryka!

– I teraz to już mu wszyscy mogą skoczyć. – Maria wycelowała spojrzenie w dziewczynę, chcąc zobaczyć, jaki efekt odniósł ten wyraz, użyty z rozmysłem. – Tak, skoczyć!

A potem ciągnęła coraz bardziej nerwowo. On ma kasę. I czeka. A ona jedzie, bo i tak, kiedy wszystko wyszło na jaw, żadnej przyszłości dla niej nie ma. Dosyć ma tego kraju, przylepionych do niej oczu wyczaijących zewsząd, łypiących złowroźnie. Lata obozu przeżyła, będąc niemal dzieckiem, doznała tylu krzywd, że głowę dałaby sobie uciąć, gdyby ktoś jej powiedział, że złe wróci. Ono się panoszy. Wtedy, podczas wojny, wiadomo było, kto wróg, a teraz... Ona już tak nie chce!

– Myśleli, że mnie kupią. Mnie! Mojemu mężowi zarzucano wyłącznie żydowskich antenatów, a mnie powiedziano, że mimo mojego pochodzenia, bardzo słusznego, a jakże, nie mogą tolerować tej degrengolady polskiej inteligencji. Że Polska jest wystarczająco zażydzona... Oprawcy!

W pewnej chwili Maria zamilkła i spojrzała na Różę. Zrobiło się jej żal dziewczyny. Tyle wysłuchiwała. Niepotrzebnie. A pewnie sama miała swoją opowieść.

W końcu uniosła papierosa do ust, pociągnęła już sam filtr i skończyła:

– Tak. Mój mąż Szymon jest Żydem, frankistą. – Zabrzmiało to niczym wyznanie winy, akt ostateczny.

– To kiedy mogę zaczynać? – zapytała nagle Róża. – Teraz to pewnie nie, a zaraz wakacje...

Dyrektorka wstała i otrząsnęła się, jakby strzepywała z siebie niewidzialne pyłki.

– Sprowadzić się możesz nawet już. Mieszkanie opuściłam. Stoi prawie od miesiąca. Trzeba tylko odświeżyć, przewietrzyć. A praca od września, normalnie. Musisz tylko pewnie w Szczecinie pozamykać swoje sprawy, coś tam pokończyć, jak to w życiu. Coś trzeba skończyć, by coś zacząć – dokończyła niemal pryncypialnym tonem, za którym krył się zagadkowy uśmiech.

Róża nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ta kobieta dużo o niej wie. Była niemal pewna, że szczeciński dyrektor i Maria się znają, choć z ust żadnego z nich nie padło bodaj zdanie o tym drugim.

W gabinecie Marii Rofe zapadło milczenie. Przez otwarte okno wpadał zapach bzu. Gdy Róża uniosła się nieco, czując, jak spocona suknia przykleiła się jej do ud, krzesło pod nią cicho zaskrzypiało. Dyrektorka trwała w nieruchomej pozie niczym pozbawiona mechanizmu figurka na pozytywce – ze splecionymi dłońmi, przekrzywioną głową i półotwartymi ustami. Naraz rozwarła palce, strzepnęła je i na powrót spłotła, wyginając to w jedną, to w drugą stronę, strzelając zastałymi stawami. Potem pokręciła głową. Wyglądała tak, jakby wybudziła się z długiego snu i oceniała sprawność poszczególnych organów, zanim zacznie się od nowa poruszać.

A potem nagle wszystko nabrało tempa. Obie kobiety niemal jednocześnie zerknęły na zegarki i jak na komendę uznały, że czas się rozstać. Obie nieco zażenowane. Róża wyciągnęła dłoń i rzekła:

– Przyjadę na początku lipca.

– To dobra decyzja. Mnie już tu nie będzie. Ale pan Edek się wszystkim zajmie.

Uścisk na pożegnanie był równie silny jak ten na powitanie, ale Róży się zdawało, jakby dziwny strumień przepłynął między ich dłońmi.

Pan Edek stał tuż za drzwiami. Ułamek sekundy taksował ją wzrokiem, a potem szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Pani magister będzie tu miała jak w niebie – zwrócił się do Róży, unosząc porozumiewawczo brwi.

Pewnie podsłuchiwał. Nie spieszył się, gdy Maria, która pokazała się w drzwiach gabinetu, pogroziła mu palcem. Patrzył raz za jedną, raz za drugą kobietą. Wyczuwał ową niesamowitą więź, te same wibracje.

– Pani Róžo! – zawołał za nią profesor Tarnawski, kiedy wyszła z sali po egzaminie. – Może jednak rozważy pani moją... znaczy naszą... rady uczelnianej propozycję. Szkoda takiego mądrego człowieka wypuszczać.

– Nie, nie – odparła Róża szybko i nerwowo. – Dziękuję, ale to już nie wchodzi w grę. Zresztą nie chciałabym zawieść dyrektora szkoły – skłamała.

Nie było żadnego dyrektora ani żadnej propozycji. Nawet nie miała pomysłu na to, co dalej z sobą zrobić. Jeszcze do kwietnia była pewna, że zostanie na uczelni. Jeszcze nie tak dawno...

– Pani Róžo, daleki jestem od tego, by wpływać na pani życie. Boże uchroni! Ale to już nie te czasy, że trzeba nam siłaczek. Pani wybaczy – zachnął się Tarnawski – ale w szkole to żadnego rozwoju, żadnej perspektywy naukowej. Tutaj... na uczelni... sama pani rozumie... Może i pieniądze nie jakieś wielkie, może nie od razu, ale kariera, pani Róžo, kariera! Publikacje, sympozja. No niechże pani jeszcze raz to przemyśli! Zakład Języka Polskiego czeka na takich jak pani!

Profesor przemawiał, jakby stał za katedrą. Wyniosła sylwetka, nieco nadęta twarz, obojętne oczy i ten głos... Pozbawiony emocji. Tak monotonny, że gdy któregoś razu w trakcie wykładu zażartował, że natura dała kobiecie krótsze więzadła głosowe, ale za to dłuższy język, niemal wszyscy automatycznie zanotowali te słowa – dopiero w którymś momencie, kiedy profesor odchrząknął znacząco, po sali przeszedł pomruk stłumionego śmiechu.

– Ja osobiście panią błagam! – Tarnawski spojrzał na Różę takim wzrokiem, że na jej twarzy wykwitł rumieniec. Teraz to już ze mnie prawdziwa róża, pomyślała. Zdawało jej się, że cała jest czerwienią. –

I panią, i nas interesuje współczesna polszczyzna i jej związki z przeobrażeniami społecznymi. Zwłaszcza tu, na Zachodzie. Analizowaliśmy nowe zjawiska językowe i obyczajowe, psycholekty, socjolekty i język subkultur, odmiany i style polszczyzny, stereotypy...

Słowa profesora zmieniały się w bezkształtne dźwięki. Róża czuła, że jest coraz bliżej drzwi, że powoli odtaja. Koniec! Koniec studiów! Teraz zostanie godną nauczycielką. Poważną kobietą. Wychowawcą pokoleń. Jeszcze wakacje. Ostatnie wakacje! Jeżeli jednak potwierdzą się jej przypuszczenia... jeśli się okaże... Nie! Nie chciała teraz o tym myśleć! Nie w tej chwili! Jutro, za tydzień, miesiąc, ale nie teraz!

Tarnawski szedł za nią. Nieco z tyłu. Jakby odpuszczał, tracił siły i nadzieję. Róża zatrzymała się w połowie schodów prowadzących bezpośrednio do wyjścia. Tak gwałtownie, że niemal zderzyła się z wykładowcą. Gdyby nie wyciągnięta ręka, niechybnie wpadłaby na jego tors.

– Panie profesorze, dziękuję za wszystko – powiedziała wyraźnie i pewnie, jakby to nie ona była niedawną studentką, a on. – Naprawdę! Nie wiem, czy ktokolwiek pomógł mi tak, jak pan. Dziękuję.

Przez chwilę się wahała, czy nie pocałować Tarnawskiego w policzek. On sam nadstawił się, jakby nieświadomie przygotowany na taki gest. Ale ostatecznie ścisnęła jego dłoń po męsku, potrząsając nią lekko, a potem zbiegła ze schodów.

Wypadła na chodnik. Prosto w słońce. Biegiem dotarła do ulicy 5 Lipca, nie odwracając się za siebie. Dopiero na końcu drogi, która dochodziła do głównej, zatłoczonej arterii, przystanęła, z trudem łapiąc oddech. Przysiadła na ławce na przystanku autobusowym. Wyciągnęła papierosa. Przez chwilę miętoła go w palcach. Szukała zapalek. Nerwowo przewracała rzeczy w torebce, ale znajdowała wszystko – szminkę, tabletki, poskładane

wachlarzyki ściąg, papierki, ścinki i czort wie co jeszcze – tylko nie cholerne zapałki. W końcu – są! Upchnięte w róg na samym dnie. Odetchnęła z ulgą, ale zaraz zaklęła pod nosem. Wszystkie były wypalone. A tyle razy sobie obiecywała, że nie wrzuci spalonych drewnienek do pudełka!

– Psiakrew! Cholera jasna! – bluzgała wściekła na siebie. Nienawidziła prosić o ogień. Podchodzić do kogoś tak blisko, z fajką w buzi, i pytać: „Mogę ognia?” albo: „Ma pani zapałki?”. A jeszcze gorzej, gdy zmuszona była przytykać swojego papierosa do czyjegoś. Ta czynność wydawała jej się zbyt intymna, dwuznaczna. A Róża nie znosiła dwuznaczności, podtekstów.

Papieros, już wymęczony, dalej bezwolnie poddawał się miętoleniu. Obracała go nerwowo w palcach, wykruszając zeń małe, żółtawe okruszki tytoniu. Jak na złość starszy facet dogasił peta, pocierając go o kant betonowego kwietnika. Z ust wyfrunęła mu chmura siwego dymu, mieszając się z gorącym powietrzem. Nieco dalej jakaś para ciągnęła jednego papierosa, przekazując go sobie z rąk do rąk. Było w tym coś tak intymnego, że Róża nie odważyłaby się podejść do nich i poprosić o ogień. Znowu zanurkowała ręką w torebce, przewalając jej zawartość w nadziei, że choć jedna zapałka z zielonym łebkiem gdzieś się zawieruszyła. Wtedy zobaczyła przed sobą płomień.

– Trzymaj! – powiedział ktoś. – Co tak gnasz?

Spojrzała do góry, spodziewając się zobaczyć znajomą twarz. Bo przecież takiego pytania nie zadają obcy ludzie.

Chłopak był mniej więcej w jej wieku. Nie wyglądał na studenta.

– Dzięki. – Róża przytknęła papieros do płomienia. Za chwilę dym wypełnił jej płuca. Przytrzymała go nieco dłużej, a potem zadarła głowę

i wypuściła w górę nieforemny siwy kłęb. Zaciągnęła się tak głęboko, że papieros się zdeformował, pomarszczył, pożółkł.

– Gorąco, nie? – Chłopak rozchylił koszulę i dmuchnął sobie na tors.

Róża dopiero teraz poczuła, że rzeczywiście jest cholernie gorąco. Słońce stało wysoko i nic nie było w stanie schować się przed jego dręczącymi promieniami. Miasto dyszało, fasady kamienic, wnęki klatek i bram ulicznych wypychały z siebie zapachy, które mieszały się z upałem, tworząc ciężką woń stanowiącą połączenie spalin, psich odchodów, osikanych wnęk wjazdów i unoszących się powietrzu zapachów kwiatów bzów gdzieś jeszcze kwitnących, rosnących w kępach czerwcowych kwiatów powojnika, naparstnic i goździków, które same z siebie woni żadnych nie toczyły, ale już wyglądem działały niezwykle sugestywnie na zmysły. Powietrze drgało, załamując obraz. Ludzie sapali, wachlując się, czym popadnie.

Jej ciało, szczelnie oblepione stilonową bluzką, uwięzione w stilonowych pończochach, też zaczęło się domagać powietrza. Krople potu toczyły się po skórze. Te z czoła rozcierała dłonią, pozostałym pozwalała płynąć.

Z daleka zobaczyła dach autobusu. Jeszcze nie widziała numeru, bo samochody zatrzymały się na czerwonym świetle, przysłaniając maskę.

– Dokąd jedziesz? – zapytał on. – To znaczy nie żeby ten... Nie pomyśl sobie... Tak tylko spytałem.

Róża spojrzała na niego. Nie wyglądał na podrywacza, wręcz przeciwnie – miał w sobie chłopięcą nieśmiałość, która sprawiała, że nie patrzył wprost, a uciekał wzrokiem w bok, gdzieś obok niej. Nawet stanął nieco pod ukosem. Zrobił z dłoni daszek, by uchronić się przed rażącym słońcem. Czerwone od tarcia oczy w zestawieniu z jasną karnacją

wyglądały na zapłakane, budziły litość. Nie, zdecydowanie nie wyglądał na podrywacza.

Autobus wjechał do zatoczki. Skrzypnęły rozsuwane drzwi. Bieżnik koła odcisnął się w miękkim asfalcie. Od czerwonego metalowego cielska buchało ciepło. Silnik warczał. Stłoczone wewnątrz postacie zakołysały się gwałtownie, kiedy pojazd ponownie ruszył.

Róża pomyślała o zaduchu, zapachu spoconych ciał. Sama myśl, że miałyby stać wśród tych ludzi, kołysząc się z nimi w jednym tempie, deptając nieostrożnie po stopach, przyprawiła ją o mdłości. O nie! Da sobie jeszcze czas. Może kolejny też przeczeka.

– Donikąd – odparła na zadane wcześniej pytanie i dodała: – Chyba nigdzie mi się nie spieszy.

Chłopak się uśmiechnął, jakby nabrał pewności. Przesunął wzrokiem po Róży, ale zaraz znowu uciekł.

Nadjechał kolejny autobus, po nim drugi. Róża nie wstawiała. Może zapali jeszcze jednego. Zerknęła do paczki. Trzy. Zostały jej trzy papierosy. Obliczyła w myślach, że może jej zabraknąć. A nie miała już pieniędzy na fajki.

– Nie masz chyba zamiaru znowu jarać! – odezwał się chłopak.

Wyciągnął rękę, jakby zamierzał zabrać jej paczkę, ale zatrzymał ją w połowie drogi. Machnął jakoś tak dziwnie.

– Nie – powiedziała i schowała paczkę do torebki. Zdziwiła się sobie, że pozwoliła, by ktoś przypadkowy zwracał jej uwagę, ale właśnie poczuła, że jej wystarczy. Wypaliła od rana już kilka fajek. Na czczo. Z nerwów nie mogła niczego przełknąć. Teraz poczuła, że ssie ją w żołądku, smak nikotyny wypełniał jej trzewia. Oblizwała czubkiem języka zęby, czując gorzkawy posmak. Zemdlilo ją.

Podjechał następny autobus. Jej autobus. Ludzie tłoczyli się do środka. Róża się zawahała. Postąpiła krok, ale cofnęła nogę. Nie! Nie chciała wracać do domu. Na stację. Kolejny dzień, kiedy nie może nic robić, niczego się tknąć. Kolejny dzień, kiedy prawda, że nie da się cofnąć czasu, przytłoczy ją swoją oczywistością. Nie! Nie zamierza iść z Agatą do Pinokia. Przecież wyraźnie dała jej do zrozumienia. Już dawno. Koniec szalonych eskapad! Taniego blichtru! Życia, które na drugi dzień odbija się pijacką czkawką, nie pozwala spoglądać w lustro! Tamten świat już dla niej nie istnieje.

Agata pojawiła się na uczelni jakby nigdy nic. Z tym swoim bezceremonialnym uśmiechem, nonszalancją. „Czas godnie zamknąć ten rozdział w życiu”, rzuciła. Wszystko już zorganizowane, scenariusz dopięty na ostatni guzik. Czysta perfekcja! Skąd jej przyszło do głowy, że coś się zmieniło? Bo co? Bo obrona? Bo koniec studiów? Nie ma to dla niej żadnego znaczenia! Niech nie dzwoni, niech wreszcie pozwoli mi odejść, zapomnieć, pomyślała Róża. Nie miała ochoty na towarzystwo nikogo z ich paczki. Na żadne imprezy w akademiku. Nie miała ochoty patrzeć na to, czy oni patrzą, udawać, że jest, jak było. Nie jest! Już nigdy nie będzie! Ale nie chciała też być sama.

– To może się przejdziemy? – spytał chłopak i natychmiast poczerwieniał.

Róża się zdziwiła. Czy to możliwe, by usłyszał jej myśli? Może nawet tego chciała. Tak! Tego było jej trzeba. Spotkania bez przyszłości, bez zobowiązań. Jednorazowości.

Nie odpowiedziała, tylko zarzuciła torebkę na ramię. Pasek ześlizgiwał się po bluzce. Przerzuciła go przez pierś i ruszyła, zostawiając w tyle przystanek autobusowy.

Szli obok siebie, nie ustalając, dokąd idą. Wojska Polskiego, potem obok kościołów, w dół, skręcili w boczne ciasno zabudowane uliczki Podzamcza. Kluczyli nimi w kierunku bulwaru nad Odrę, gdzie było trochę cienia.

Róża czuła, że coraz bardziej się poci. Biała bluzka, którą matka kupiła jej specjalnie na obronę, przylgnęła do skóry. Matka była taka dumna z siebie, wręczając jej tę bluzkę, że Róża nie umiała jej odmówić. Mogła jej przecież nie wkładać, ale czuła, że nie wypada. Chodziło o gest. Biała bluzka dla córki, która kończy filologię polską. Dla córki, której ojciec Niemiec uciekł do swoich, pozostawiając w rodzinnym mieście – dawniej niemieckim, teraz polskim – żonę o nieustalonej tożsamości. Ten jeden raz Róża nie przeciwstawiła się matce. I jeszcze ta idiotyczna spódnica. Musiała wyglądać zabawnie w tym szkolnym przebraniu.

Przysiedli na zboczu, na trawniku pod zamkiem. Sławek – przedstawił się jej, jeszcze zanim zeszli nad Odrę – się nie odzywał. Ona mówiła. Właściwie nie umiałaby wytłumaczyć, dlaczego opowiadała mu to wszystko. O matce, o ojcu, o Stefanii, o babci Ewie... Jakby nagle zrozumiała, że jeżeli teraz nie wypowie tych słów, pozostaną w niej, utkną, zablokują się na zawsze. Nie trzymała się żadnego porządku, żadnej chronologii. Historie do tej pory uśpione w jej głowie, pochowane w najgłębszych zakamarkach, nagle zaczęły się toczyć. Osoby skryte w niepamięci ożywały, zyskiwały ciała, imiona, adresy. Pełna ewidencja ludzi, miejsc i zdarzeń.

W pewnej chwili Róża zdała sobie sprawę, że przez cały ten czas Sławek milczał. Nagle zaczęła się śmiać. Głośno, perliście, nieco teatralnie. Zdawało się, że to też nie zrobiło na nim wrażenia. To też przyjął jak coś całkiem naturalnego. I to, że leżą obok siebie na trawie, stykając się

biodrami. I to, że ona mówi i mówi. Wszystko, co się działo, chłonał bez zdumienia. W końcu jednak całkiem naturalnie spytał:

– Z czego się śmiesz?

– Z siebie – odparła. – Z ciebie też.

Uniósł ramiona w geście zdziwienia.

– Ze mnie? Powiedziałem coś zabawnego? Zrobiłem?

Jego prostolinijność jeszcze bardziej rozbawiła Różę.

– Właśnie o to chodzi, że nic. Kompletnie nic. – Uniosła się na łokciach, obróciła twarz w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy, szukając w nich jakiejś oceny, krytyki, ale niczego takiego nie znalazła. Chwilę na nią patrzył, ale zaraz przymknął powieki, bo słońce operowało wysoko i nie sposób było weń patrzeć.

– Mów dalej – poprosił jak dziecko, które prosi matkę, by nie kończyła jeszcze ulubionej bajki.

Róża spoważniała. Wyciągnęła rękę w stronę jego twarzy. Nagle zapragnęła sprawdzić, czy czerwień wokół jego oczu rzeczywiście jest wynikiem uporczywego tarcia, ale się powstrzymała. Cofnęła dłoń. Pod zmrużonymi powiekami migotały kolorowe tęczęwki. Róża zauważyła, że są zielone jak dna szklanych butelek oranżady. Szpara powieki poszerzyła się, ukazując jasną kreskę białka, ale za chwilę Sławek zacisnął oczy. Jego twarz była niczym rzeźba. Nieruchoma i niewzruszona. Gdyby nie ledwie dostrzegalny ruch powietrza przy oddychaniu, subtelne drganie ścianki nosa, Róża mogłaby mniemać, że oto leży przy kawałku drewna lub żeliwnym odlewie o antropomorficznym kształcie.

– To już koniec – powiedziała powoli. – Koniec studiów. Właśnie się obroniłam.

– To gratuluję, pani magister! – Kawałek drewna, tchnięty życiem jak Śnieżka, którą obudził pocałunek księcia, nagle się podniósł i szarmancko

ujął rękę Róży, przytykając ją do ust.

Może to ten zwykły gest, a może groteskowość całej sytuacji spowodowała, że Róża zdecydowała się powiedzieć Sławkowi o wszystkim. O Tarnawskim i o tamtym... Poczuła, że już nie ma siły, nie chce wlec za sobą zatęchłych historii. Przypadkowych, nieważnych. Już nieważnych! Bez możliwości kontynuacji. Zamkniętych. Historii, które mimo że tak bezlitośnie wtargnęły w jej życie, tak naprawdę pozostawały nieistotne dla jego biegu.

Sławek na nią nie spojrzał, ale nie spał, choć może na to liczyła. Nie potrzebowała słuchacza, chciała tylko wyrzucić z siebie nagromadzone wewnątrz słowa. W końcu powiedział tylko:

– Tak bywa.

A potem leżeli w milczeniu na nagrzanym zielonym zboczu. Patrzyli na przeciwległy brzeg. Portowe żurawie pracowały leniwie, kołysząc poderwanym z ziemi ciężarem, migotały w słońcu, raz pokazując się w całej okazałości, raz rozmywając się w świetle promieni słonecznych.

Nie wypuścił jej ręki, ona też nie wysunęła swojej.

Dalsza część w wersji pełnej

Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Kanenbergowie. Tom 1. Tam, gdzie twój dom](#)